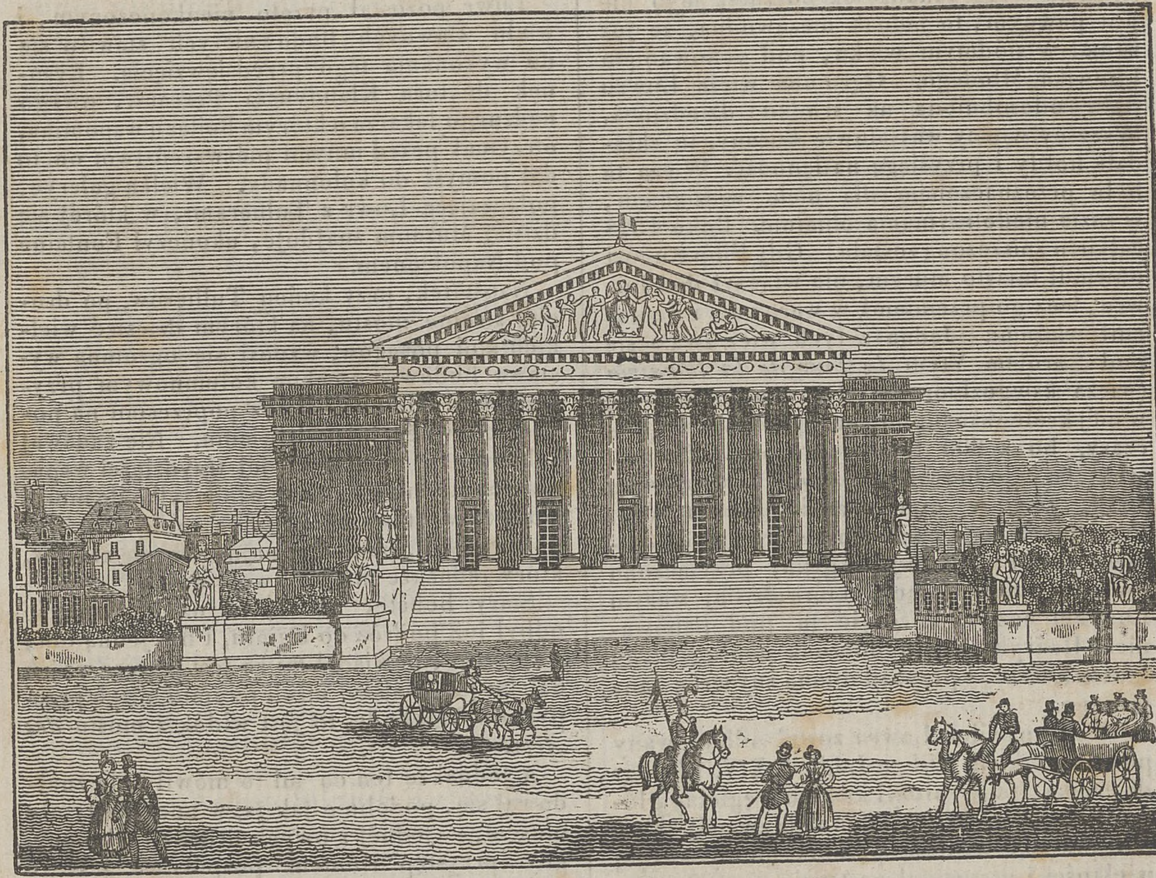
RZUT OKA NA PARYŻ.

(*Dokończenie. Obacz Nr. 30 str. 234.*)



(IZBA DEPUTOWANYCH W PARYŻU.)

Ze smutnemi myślami powraca się do stanowiska, z którego spojrzenia nasze wybiegły, i zkąd tylko jeszcze jedna budowa w oko wpada, a chociaż znacznie oddalona, kopułą i kształtem przypomina kościół S. Piotra w Rzymie. Przeznaczenie i miano tego gmachu wielokrotnie się zmieniały.

Zbudowany był na rozkaz kardynała Mazarini, na placu, gdzie się niegdyś stara wieża Nesle wznosiła, i przeznaczony na przyjęcie szesnastu młodéj szlachty z czterech odmiennych narodów, mających tam bezpłatnie pobierać nauki: ztąd nazwisko jego *Collége Mazarin* lub też *Collége des quatre-nations.* Roku 1806 przybrał nazwę *Palais de beaux-arts*, i został wzięty na posiedzenia Instytutu do którego wcielone zostały od r. 1796 trzy akademije: francuzka, nauk i sztuk pięknych; dzisiaj nazywa się *Palais de l'Institut.* Akademia francuzka odbywała dawniéj swe posiedzenia z drugiéj strony Sekwany, w jednéj z sal Luwru.

Dotąd przyglądaliśmy się tylko staremu Paryżowi — *Cité*, — stolicy w kolébce, drżącéj przed Normandzkiémi czółny, gdy Sekwaną przypływały. Obróć się teraz; rzuć w prawo spojrzenie ku wschodowi, a scena zmieni się zupełnie. Za tobą leży bezładny ogrom domów, po nad któremi tu i ówdzie dzwonnice i wieże kościołów wybiegają. Tu jednakże powietrze i światło wolno krążą, jak zwykle w nowém mieście. Po jednéj stronie ciągną się wygodnie ogromne pałace; po drugiéj, strudzone oko regularnością majestatycznéj wystawy Luwru, mile wypoczywa na zieloności Tulieryjskich ogrodów, i gubi na wzgórzach *Chaillot* i *Passy*, widnokrąg uwieńczających.

Luwr od najdawniejszych czasów był mieszkaniem królów. Na miejscu jego miał stać kiedyś zamek, w siódmym wieku przez Dagoberta Igo zbudowany, a zburzony przez Normandów. Jakkolwiek początek jego nie jest pewnym, to jednak niezawodna, że już istniał w siódmym wieku, pod panowaniem Ludwika Młodego. Ogromna wieża Luwru stała odosobniona na środku dziedzińca. Wszyscy wielcy wassalowie korony, tu składali hołdy i przysięgę na lenność. Wieża ta była przeznaczoném dla nich więzieniem, w razie niedotrzymania obietnic. Roku 1528 całkiem zniszczoną została. Gdy Filip August obwiódł miasto murem, nie włączył doń Luwru, lecz go przemienił w warownię i wzmocnił wieżami. Jedna z tych wież zwała się pod Karolem Vtym *la tour de la librairie* (wieża księgozbioru), gdyż znajdowała się w niéj królewska biblioteka, najbogatsza w one czasy, bo z 900 tomów złożona. Franciszek Iszy odnowił i ozdobił Luwr roku 1539, aby w nim osadzić Karola Vgo. Przy końcu jego panowania stary zamek całkiem został zburzony, i grunt przyłączono do owéj części pałacu, którą dzisiaj starym Luwrem nazywają: część ta pod panowaniem Henryka IIgo ukończona podług planu Piotra Lescot, i przyozdobiona snycerką Jana Goujon.

Wielki pawilon Luwru został odbudowany pod Ludwikiem XIII, a Ludwik XIV, 17 października 1665, założył kamień węgielny głównéj wystawy, dzisiaj kolonnadą zwanéj. Król ten pragnął wznieść pomnik godny swojéj wielkości, i przywołał na ten koniec z Rzymu, kawalera Lorenzo Bernini, uważanego za najpiérwszego architekta owego czasu. Obsypano go we Francyi największémi czci oznakami. Został rozkaz wydany wszystkim miastom, przez które artysta miał przejeżdżać, aby go przyjmowano z książęcą pompą, witano z poszanowaniem i składano dary. Przez całą drogę towarzyszyła mu królewska kuchnia; a gdy się zbliżał do Paryża, wysłano na przeciw niego marszałka dworu, aby mu wszędzie towarzyszył. Pomimo najpochlebniejszych obietnic które sobie czyniono, plan jednakże Berniniego od wszystkich został zganionym. Artysta, nie kontent z zimna panującego we Francyi, utrzymywał że nie zdoła przeżyć zimy w tak ostrym klimacie, i nazad do Włoch powrócił. Jeśli podróż kawalera Bernini mało przyczyniła się do przyozdobienia Luwru, daje przynajmniéj wyobrażenie o rozrzutném zamiłowaniu przepychu Ludwika XIV, który przeznaczył artyście 3000 luidorów gratyfikacyi, roczną pensyę 12000 liwrów i prócz tego ofiarował mu swój portret, kosztownemi dyamentami osypany. Architekt jednakże wszystko to jak najzimniéj przyjął.

Luwr pozostał przeto nieukończonym, i wielu sławnych budowniczych stawiło się do wykonania tego przedsięwzięcia. Rysunek doktora Klaudyusza Perrault, owego nędznego lekarza o którym Boileau wspomina, otrzymał przed innymi piérwszeństwo: on to dał pomysł do kolonnady. Wielką galeryę, połączającą Luwr z Tullierami, w któréj się dzisiaj Muzeum znajduje, ukończył Fontaine pod Napoleonem.

Naostatek, przy końcu Tullierów, po drugiéj stronie mostu, na którym dziesięć wielkich stoi posągów, wznosi się ogromna wystawa budowy, greckim kolumnowym przysionkiem ozdobna. Lecz poprzestań na powierzchowném jéj podziwianiu. Nie zadawaj sobie pracy wstąpić na jéj trzydzieści wspaniałych stopni: stopnie te wiodą tylko do muru. Gdyż ta wystawa zdobi tylną część izby Deputowanych, pomnika najnowszych czasów, który jednakże ma już swoje dzieje.

Stary bohatér nauki, co na jéj korzyść odbył już podróż do Egiptu, i nie jedną inną wędrówkę, powiadał mi że jest jeszcze widok daleko piękniéjszy, niżeli piramid, niżeli przepychów Wschodu, to jest widok z mostu *des Arts*.

A jednakże ten co mi to mówił, nie znajdował się, podobnie jak ja, w nocy na tymże moście, — jednéj z owych uroczystych nocy, gdy przystęp tłumom pospólstwa jest tu wzbroniony. Wówczas to istotnie użyć można widoku, przed którym cały przepych Wschodu gaśnie. Wszystkie wymienione pomniki zdają się stać w płomieniach; tu jaśniejące półkole i wystawa Instytutu; daléj wybiegają w świetnych zarysach, ognistą kolumną dymu zwieńczona mennica, plac Henryka IVgo i wyspa, któréj przednia część scenę na dwoje przedziela; jeszcze daléj, czerwona kopuła Panteonu, zdaje się unosić w obłokach, niby ognista kula, gdy tymczasem czarny fronton kościoła Najświętszéj Panny, z trudnością z pośrodka cieni wyziéra, jak gdyby nie chciał mieć udziału w téj radośnéj scenie. Po drugiéj stronie jaśnieje wielki Luwr w błyszczącém świetle; płomienne girlandy ciągną się wzdłuż tarasów Tullieryjskich, a białe posągi mostu Ludwika XV, zdają się na téj uroczystości Włochy wystawiać. U stóp tych wszystkich gmachów przepływa Sekwana, i jaśniejące ich kształty na przewrót w drżących swych wodach odbija.

I wówczas jeszcze, gdy ciemność wszystkie te płomienie i światłości pochłonie, gdy rozproszą się nagromadzone po ulicach tłumy, i wówczas jeszcze piękny to widok ścigać po bruku wszystkie te znikające cienie; scena ta, tak wielką ma moc i wyraz, iż zdaje się że domy, mosty i groble muszą się także poruszyć, i w drogę udać za nimi.

RELIGIA, POBOŻNOŚĆ, I ZATRUDNIENIA DOMOWE DAWNYCH SŁOWIAN;

przez Wacława Alexandra Maciejowskiego.

(Dokończenie. Obacz Ner 30 str. 237.)

Módl się i pracuj, było hasłem Słowianina. Od Boga zaczynał on i kończył wszelkie swe zatrudnienia, w religii szukał ulgi swoim cierpieniom. O Bulgarach mówi akt urzędowy z r. 866, że oni w czasie suszy postami i modlitwą błagali niebios o zesłanie deszczu dla spragnionéj ziemi. Drzewo krzyża ś. jako talizman nosiła przy sobie węgierska szlachta. Królowie pod opiekę Bogarodzicy oddawali swoje państwa, Matkę Boską głównie czcząc za swoję patronkę (r. 1220, 1272 u Frejera III. str. 304. V. str. 206). Pociąg ten ku nabożeństwu przechodził niekiedy w przysadę. Koloman król Halicki, pojąwszy za żonę siostrę Leszka Białego Salomeę, zachował czystość w pożyciu małżeńskiém, a małżonka jego panieństwo swoje do grobu z sobą poniosła. Wiadomo że takiż żywot prowadził Bolesław Wstydliwy, i żona jego Kunegunda królewna Węgierska, wnuczka ś. Jadwigi księżnéj Wrocławskiéj. Ta sama ś. Jadwiga po kilkunastu latach małżeńskiego pożycia osiadła w założonym przez siebie klasztorze Trzebnickim, i już więcéj świata oglądać nie chciała. Jéj mąż Henryk Brodaty umierając, usilnie ją prosił o to, ażeby się raz jeszcze widzieć z nim raczyła; lecz i tego odmówiła mu ta, dla świata umarła, pani (Dług. I. str. 605. 660. 661. 663.)

Słowianin był zawsze czynnym i przebiegłym w różnych, którym się oddawał, zatrudnieniach. Pracując we wszystkich gałęziach gospodarstwa domowego, ubiegając się za handlem, doświadczając przemysłu w rzemiosłach i sztukach, uprawiając nauki o ile mu takowe dostępne były, nabył téj zręczności i łatwości a razem i wytrwałości w pracy, którą w słowiańskiéj szlachcie i gminie podziwiają zawsze. Wolny od zatrudnień czas poświęcano zabawom, albo się oddawano lżejszym i za wypoczynek uważanym pracom. Wyższego stanu mężczyzni ulubionemu sobie łowiectwu poświęcali wypoczynku chwile; niewiast zatrudnieniem była kądziel, tkanie materyi lub szycie. Najdawniejsze urzędy dworskie z rycerską sztuką lub łowiectwem miały styczność. Łowami trudniąc się Słowianin, hartował swe ciało i przyzwyczajał je do znoszenia wszelkich niewygód obozowego życia. Do najwyższego też stopnia wytrwałości w téj mierze doszli niektórzy ze Słowiańskich rycerzy, a mianowicie Światosław książe Ruski, o którym mówi Nestor, że w pochodzie nie prowadził za sobą wozów ani kotła, że niegotował sobie mięsa, lecz cienko urznąwszy zwierzyny albo kobyliny piekł ją na węglach i takową jadał, że ani on ani jego rycerstwo nie miéwało namiotów, lecz położone pod głowy siodło końskie za całe im służyło posłanie. Przęślica, kądziel, wrzeciono i nici były wyrazami głównemi (wymienił je już Wacerad i słownik Kopitara), w toaletowéj, że tak rzekę, mowie skrzętnéj Słowianki, z książęcego nawet pochodzącéj rodu. Kiedy w r. 1230 przybył do Marburga w Niemczech znakomity Węgrzyn, zastał tam córkę Andrzeja II Elżbietę, za księcia niemieckiego w małżeństwo wydaną, przędącą wśród służebnic (u Fejera III. 2. str. 215). Przędzeniu oddawała się i Jadwiga ś. księżna, małżonka najpotężniejszego z Piastów owego wieku (J. S. Bandtke, Dzieje I. str. 263). Nie było to znakiem grubych obyczajów i wieśniaczéj prostoty ówczesnego wieku, bo pominąwszy nazwiska ubiorów, wskazujące na wysoką owych czasów cywilizacyą, toaletowy język staro-dawnych Słowianek, mieścił w sobie i zwierciadła nazwę (u Wacerada): już bowiem wtedy było u nich to przekonanie, że praca z wykwintnością nawet stroju łatwo pogodzić da się, byle w miarę i stosownie użytém było oboje.

Wolny czas od zatrudnień poświęcano na Pomorzu, już w czasach pogańskich, zabawom w publicznych gmachach czyli gontynach. Kronikarze życie ś. Ottona opisujący powiadają, iż wszelkie sprawy załatwiał naród w tych gmachach, że wszelkie tu miéwał zabawy, w pewnych dniach i godzinach do gontyn w tym się schodząc celu (*). W godziny od prac wolne używano także łaźni. Już w akcie urzędowym z roku 866 mowa jest o

(*) Nam sive potare, sive ludere, sive seria sua tractare vellent, in easdem ædes certibus (certis) diebus conveniebant et horis.

*

łaźniach u Bulgarów, a wiadomo że i ś. Andrzéj, gdy na Ruś przybył (o czém Nestor mówi) ujrzał mnóstwo ludzi, pod gołém niebem używających łaźni. I królowie Polscy lubili jéj używać, lecz właśnie w niéj kilku zdradziecko utraciło życie (Dług. I. str. 869). Ażeby się i wychylaniem kielichów zabawiać miano, rzadko o tém kronikarze mówią, jak np. Dithmar str. 249 o Białejkniechini, która, (słowa są jego) zamiast wrzeciono obracać i skromne prowadzić życie, obyczajem rycerzy uganiała się konno, nad miarę piła, a następnie biła ktokolwiek jéj się nawinął. Raz w gniewie własną zabiła ręką człowieka. Dla zabawy oddawano się i hodowaniu kwiatów, jak np. Wawrzyniec biskup Wrocławski wielki lubownik róż, które często wąchając dostał romatyzmu w nosie, zkąd i umarł (Dług. 648). Wieczorem zbierano się około komina dla słuchania klechdów albo grywano o pieniądze, i to już w najdawniejszych czasach. O Kazimiérzu Sprawiedliwym, zalecając go do tronu, pociesznie opowiadał pan jeden, jak ten monarcha będąc jeszcze Sandomiérskim księciem, grał aż do nocy z pewnym szlachcicem, i jak od zagrzanego winem gracza i rozgniéwanego o to, że wiele do księcia przegrał pieniędzy, dostał w twarz pięścią: za co się jednakże nie rozgniéwał, ani zniewagi téj za obrazę majestatu nie poczytał, lecz darował winowajcy, jako pijanemu (Dług. p. 533). U Czechów postanowioném było (statut Igławski, u Dobn. IV. str. 219), że więcéj nad to, co kto nosi w pasie, przegrać mu niewolno. W szachy i kostki grywano najwięcéj, konie i inne sprzęty na los szczęścia stawiając. (Archid. Gnesn. u Sommersb. II. p. 107. Statut Kaz. p. 90); biegano do mety, stanowiąc nagrodę za to kto piérwszy u niéj stanie. Nawet kobiéty lubiły tego rodzaju zabawy. Stefan II król Węgierski (r. 1263, u Fejera IV. 3. str. 158) dał w nagrodę znakomitéj dziewicy postaw cienkiego sukna, za to że córkę jego wyprzedziła w biegu do mety. Igrzyskiem (u Wacerada *ihrisce*, gymnasium) nawet wszelkie umysłowe i zmysłowe ćwiczenia nazywano.

NOWE DZIEŁO.

Otóż wbrew naszemu twierdzeniu w numerze 29 Magazynu Powszechnego umieszczonemu, że obojętność księgarń jest przyczyną, iż o wielu dziełach za obrębem Warszawy drukowanych, nic wiedzieć nie możemy, wbrew mówię temu zdaniu, księgarnia P. Aug. Emmanuela Glücksberga, ogłasza nam niespodziane nowości. Jakož niektóre z nich są prawdziwemi nowościami tylko dla Warszawy, bo jeszcze w roku przeszłym z pod prass drukarskich na świat wypuszczone zostały. Zobaczmyż z kolei czém to nas autorowie na schyłku roku 1836 obdarzyć byli łaskawi. Naprzód bije w oczy różową okładką, grubym papierem i niezgrabnym drukiem dwu-tomowe dzieło, z osobliwszym i na sposób zagadki ułożonym tytułem:

Upominek Ojca s podróży dla własnych i przyjaciół synów i córek, tudzież dla rodziców o edukacyi tychže; przez Mikołaja Witwickiego, autora Pszczolnictwa krajowego. Sankt-Petersburg w Typografii S. O. K. W. Straży 1836 in 12. Tom I. str. 200. Tom II. str. 210.

Dziwnie zawiły i nadzwyczaj osobliwy tytuł ten, zdaje się obiecywać dla wielu rodzajów czytelników upominek ojca znużonego podróżą, to jest upominek dla własnych (domyślić się może krewnych), dla przyjaciół, dla synów, dla córek i nakoniec dla rodziców o edukacyi tychże (rodziców?). Autor który nie po raz piérwszy występuje na scenę świata literackiego w tym charakterze, bo kiedyś napisał o pszczołach, chciał przynajmniéj niepospolitym tytułem, jeżeli nie samą książką uczynić wrażenie na czytających. Niełamiąc zatém dłużéj głowy nad tém, czego dostatecznie zrozumiéć nie można, pójdźmy do dzieła, a tu dopiéro znajdziemy wiele takich osobliwości z którémi nie łatwo zdybać się można gdzieindziéj. Naprzód spotykamy nieznanego dotąd gościa w pisowni polskiéj „ž", które w takiéj postaci występuje we wszystkich wyrazach, gdzie tylko obok innéj spółgłoski kładzione bywa: np. *cžłowiek*, *cžuły*, *bližšy*, *wšędzie*, *pržyjaźń*, *pšcžółka*, i t. p. Niewiémy coby na téj nowości język nasz miał zyskać, tego tylko pewni jesteśmy, że jeśliby przez jakiś traf niespodziany takim tylko stylem jak książka Pana M. W. dzieła po polsku zaczęły bydź pisane, literatura nasza wkrótce mogłaby się stać równie dla nas zrozumiałą jak arabska: zwłaszcza że liczne omyłki druku co moment spotykane, czynią prawdziwe chaos z tego dzieła skądinąd poważnego. Jakže bowiem nie miéć go za poważne, kiedy nam w tomie piérwszym prawi o szczęściu na wsi, potém zaraz łaje bez litości romantyków za to, że w ostatnich latach wzięli górę nad klassykami (obie materye świéżuteńkie i nic nie wyczerpane!); daléj wskrzesza jakąś powieść Jezuicką

z r. 1657 o niegodziwéj Semiramidzie, która zdradziecko łeb uciąć kazała ukochanemu małżonkowi swemu Ninusowi. Prawda że autor wystrychnął na dudka sławnego zkądinąd Ninusa, ale prócz tego niemożemy pojąć w czémby ta powieść mogła posłużyć do edukacyi synów, córek lub czyichkolwiek rodziców. Nie wspomniemy już nic o kilku listach pisanych do córki, o nudzie, ochędóstwie, kwiatach i t. d., które w sobie wiele bardzo rzeczy, o których cały świat wiedział i wié, zawierają. Niepodobna jednakże niepowinszować autorowi trafnego i szczęśliwego wyboru *Egidy*, za cel swojéj krytyki. Nieśmiertelny płód twórczego geniuszu, głośnego po wszystkie wieki rymopisa, P. W. z Ciechanowca Kiszki Z., zdawał się bydź wyższym nad wszystkie pociski recenzyi. Milczał świat zdumiony nad wydaniem tak uderzającego w swoim rodzaju kilko-języcznego dziennika in folio majori, w kilku arkuszach drukowanego, i nikby pewno nieprzerwał tego milczenia, gdyby autorowi *Upominku Ojca*, w przystępie jakiegoś zapału do krytykowania i pisania (bo niechcemy go posądzać o zawiść), nie przyszło do głowy, mówiąc o wszystkich i niektórych innych rzeczach, wyrzec także poważnego sądu o Egidzie. Mijając potém rozdział utytułowany *krytyka osób na bal zgromadzonych*, gdzie się tylko dowiadujemy o jakiéjś okolicy *zanurzonéj w uciechach i przyjemną wonią wydającéj*, dobijamy się wreście końca tomu piérwszego. — Dzięki Bogu! ale cóż, kiedy ten koniec jeszcze się właściwie niekończy; bo powieść opisująca *Życie i przypadki Joachyma Dro-skiego*, urwaną jest nielitościwie i odesłaną do 2go tomu; którym nie ośmielamy się już zajmować czytelnika, bo niesłychanie jest podobny do piérwszego. Lecz natomiast ażeby uzupełnić wyobrażenie o *Upominku* P. W., i okazać że nietylko wyborem rzeczy, ale i prawdziwie polskim stylem jaśnieje, przytoczymy niektóre wyrazy, jakie za otworzeniem książki zaraz się napotykają, np. *odwiedź sąsiad*, *przenigdy*, *pismaki*, *za kołodzieja Piasty*, *bay-bardzo*, *zgroźno zawołać*, *ściskać kolany*, *zawrzasła Semiramis*, *chwaccy*, *krzywuły*, *Podściny*, *kaprawe Panny*, *Panieńka*, *czajnik*, *o ziobro troncić*, *gibusie*, *błotsko*, *szykanada*, *ryczułka*, *posłać album moim murzynem* i t. d. i t. d.

Jużbyśmy na tém skończyli, ale niepodobna o jednéj jeszcze zalecie autora zamilczeć, która jest nader pocieszającą. Oto! rozumieliśmy, że tylko pewne pisma szczęśliwemi są w *tłumaczeniu* nazwisk *cudzoziemskich* na polskie, aż oto z radością postrzegamy, że i P. W. niemniéj pomyślnie ozdobił swój Upominek kilku tak wzorowemi próbami. Jak to pięknie jest naprzykład, kiedy: Pan *La Martyn* odwiedza *Lędę Stengop* w Syryi, przypłynąwszy tam na *Awstryackim* statku, a PP. *Roże de Bowuar*, *La Metry*, *Miszo* i *Pużulo*, czytają *La Vatera* i rozmyślają o wielkości *Kawkazu* co leży za *Ewropą*. Poczém robi się *pawza*, a osłupiały czytelnik zdumiéwa się, jak się odważył P. M. W. pisać taki *Upominek* nietylko ojca, ale i *ojczyma* niegodny„ i drukować go z okropnémi w każdym wiérszu omyłkami.

M.

WYZIEWOWA JAMA, NIEDALEKO KESMARKU W WĘGRZECH.

Na zachodnio-północnéj stronie miasta Kesmark, przy wiosce Zdiar (*jutrzenka*) leżącéj, w Maguranickim obwodzie, u stóp Magury (łańcucha gór, od których cały ten obwód wywodzi swe miano), znajduje się wielka i głęboka skalna jama, odznaczająca się szczególniéj słupem wyziewów, do mgły podobnych, który czasami z jéj łona wybucha. Loch, roztwiérający się ku zachodo-północy, wysoki 5 sążni a 3 széroki, przystęp do niéj tworzy. Dotąd częściowo tylko zbadane jéj wnętrze, przedstawia prostopadłą skalną komnatę, na 15 sążni blisko wysoką, prawie zawsze dymnemi wyziewy w kształcie mgły napełnioną, w któréj, o dwadzieścia zaledwie kroków od wstępu znajdują się przerażające przepaści i głębiny. Nikt jeszcze nie odważył się przeniknąć w owe tajemnic pełne podziemia, a jeszcze mniéj zbadać straszliwe głębiny. Grunt wilgotny, gliniasty i ślizki, najpiérwszą zawadę ciekawym stawia krokom. Chciano wprawdzie jednę z dostępniejszych przepaści zgłębić ołowianką, lecz niczego dojść nie można było, dla mnóstwa zakrzywień i wystających odłamów. Gdy się wystrzeli w téj pieczarze z mocno nabitéj broni palnéj, echo wielokrotnie powtórzone, przez kilka minut w dalekości z głuchym rozlegające się hukiem, dowodzi jednakże, iż jama ta ciągnie się aż w głąb' góry, i że przejścia w rozmaitych kierunkach rozbiegać się muszą. Przy blasku pochodni rozpoznać można w wielu miejscach wiszące ze sklepienia brudno-ciemne sopielce kształtów najdziwniejszych; niekiedy daje się także czuć ciąg powietrza. Nie lęgną się tu żadne gady ani robactwo, jak zwykle w podobnych bywa miejscach.

Wydobywające się z téj jaskini czasami wyziewy, zupełnie do mgły podobne, są dla okolicznych mieszkańców najpewniejszą przepowiednią zbliżającéj się burzy, która prawie zawsze tego samego jeszcze dnia po kilku godzinach nastąpić musi, skoro mgłę tę postrzegą wznoszącą się nad przepaścią przed samym wschodem słońca. Lecz zjawisko to nie jest bynajmniéj nowém ani rzadkiém w tutejszéj okolicy; szczególniéj w Tatrach, z któremi Magura na zachód się styka. Nieraz, śród najczystszéj pogody, widzieć można mgliste chmury, podobne do słupów dymu wzbijające się w górę, i po kilku godzinach uchodzące wraz z obłokami nawałnicy. Toż samo zjawisko daje się postrzegać na górze Jos, w Tatrach, od małego Łomnicza zaledwie o 500 kroków oddalonéj. Góra ta składa się z mniejszych i większych pieczar podobnież jak Magura. Czasem w lecie dzień jest najgorętszy, powietrze najczystsze, a niespodzianie tu i ówdzie powstają z jéj łona kolumny mgły, piętrzące się jak dymy wielkiego pożaru; po nich w kilka godzin następuje zwykle najstraszliwsza burza, z gradem i piorunami. Zdiar, niegdyś zamieszkany przez Niemców, dzisiaj samemi Słowakami osiadły, jest to rozwlekła wioska, któréj rozpierzchłe domostwa nieraz o pół godziny drogi jedno od drugiego leżą. Część jéj przytykająca do Magury prawie całkiem nieurodzajna, i grunt zaledwie wysiéw powraca. Prócz kartofli i owsa, nic się tutaj nieudaje, i te jeszcze nie każdego roku dojrzéwają, gdyż zima bardzo wcześnie objawiać się zwykła. Tém osobliwszą jest za to ta okolica pod względem mineralogicznym. Blisko kościołka téj wioski wznosi się ogromna granitowa skała, z któréj w wielkiém mnóstwie wydobywają się ziarna bizmutowe, wielkości i kształtu migdałów, zdolne najpyszniejszą przyjąć polituré. Prócz tego znajdują się tu jeszcze białe i błękitnawe agaty, miernéj wielkości, szczególniéj w okolicy tak zwanéj żelazna brama, która z dwóch kolossalnych skał utworzona, nadzwyczaj zwiększa zajęcie tego i tak już zachwycającego krajobrazu. Na najwyższym szczycie Magury znajduje się bursztyn, czyli żółta ambra, nieustępujący bynajmniéj w czystości i dobroci pruskiemu. Na wschód Zdiaru, niedaleko od Landoku, jest kilka wapiennych pokładów, dostarczających najwyborniejszego wapna. Na[illegible], po obu stronach tutejszéj drożyny, zjawiają się także piękne białe skalne kryształy, które przez gwałtowne deszcze opłókane ze swéj macicy — glinowatego łupku jasno-szaréj barwy, — z gór na doliny i równe pola zanoszone bywają. Mineralogowie nazywają je fałszywemi dyamentami, a podług Gmelina mają być tego samego gatunku co Marmorskie brylanty, lecz znacznie przenoszące je w wielkości.

POWRÓT Z GÓRY SYNAI DO ALEKSANDRYI.

Wyjątek z podróżnych notatek stelmachskiego czeladnika Ch. Döbel, wydawanych przez P. Schwerdt, Pastora w Neukirchen przy Eisenach (*).

Od Synai szła droga nieco na prawo, aż nareście dostaliśmy się do arabskiéj odnogi (Bahr el Kolsun), naprzeciw przesmyku Suez. Tam ku wieczorowi powstała tak wielka piaszczysta zawieja, że nie mogliśmy oczu utrzymać otwartych, i patrzéć inaczéj jak przez okulary w skórę oprawne, których zwykle używają w pustyni. Wielbłądy natychmiast w koło kręcić się zaczęły, rzuciły się na ziemię, i dopóty ich podnieść nie było podobna, dopóki ta krótka, lecz okropna nie przeminęła burza.

Sama zaś odnoga przedstawiała wojowniczy pozór. Więcéj niżeli czterdzieści okrętów wojennych było na niéj zebranych; miały one należéć do wyprawy, którą wice-król Egiptu przeciwko Mecce uzbrajał.

Aby zaopatrzyć okręty wodą, która w przesmyku Suez nieprzyjemną jest do picia, zatrudniono nieprzeliczoną liczbę ludzi i 200 wielbłądów, ażeby tę z Arabii, o dwanaście mil drogi zwozić do przystani, a potém na małych statkach przesyłać aż do Egiptu. Na jednym z owych to statków udaliśmy się do Suez, który wówczas zewnątrz i wewnątrz wojskiem był obsadzony, i tam kilka dni zatrzymali, aby wypocząć po trudach podróży. Dnia 21 grudnia 1833, opuściliśmy to mało znaczące miasto, i drogą, bardziéj skłaniającą się ku południowi powrócili do Kairu. Trzy dni na to nam było potrzeba. Prawie bezprzestannie napotykaliśmy wojska ciągnące do Suez. Przy jednym podobnym oddziale, znajdowało się więcéj niżeli tysiąc wielbłądów. Zbyt utrudzone zostawiano bez żadnéj litości

---

(*) Podróżne te notatki rzemieślnika wędrującego, ujmują swoją prostotą i szczególnym sposobem wyrażania się. Z wielkiém upodobaniem przyjęte są w Niemczech i w rozmaitych dziennikach umieszczone.

w pustyni, gdzie najnędzniéj życie kończyć musiały.

Następnego dnia dostaliśmy się do okolicy, która cała zasiana była krzemieniami, okruchami jaspisu, pniami drzew skamieniałych, przedstawiając oczom obraz jakiegoś dawnego ziemi zaburzenia. Zdawało się jakoby cały las był wykorzenionym, tak świeżo pnie wyglądały, tak oddzielne konary i gałęzie dobrze przystawały do siebie.

W Kairze, gdzieśmy 28 grudnia przybyli, wszystko, podobnie jak w Suez, przysposabiało się na wojnę przeciwko Syryi. Nietylko silna młodzież, lecz słabi i niedołężni starcy, nie werbowani, lecz gwałtem schwytani i w okowach do miasta byli prowadzeni, gdzie ich natychmiast uzbrajano. Ci tylko co służyli u Europejczyków, wolni byli od tego przymusu; i ci jednakże nie mogli się ukazywać po drogach i ulicach, niemając przy sobie swego *Teskaru* (uwolnienia), które zwykle noszą w blaszannéj puszce, zawieszonéj na sznurku przez ramie. Kobiéty nawet służące Europejczykom, bez podobnego świadectwa pokazywać się nie mogą; dawniéj gdy dowiedziono że bliższe stosunki miały z Europejczykami, pakowano je w worek i w Nil wrzucano. Zwyczaj ten barbarzyński, wykorzeniła jednak Europejska oświata, którą Mechmed Ali wprowadził, i tolerancya Francuzów.

Tą razą zamieszkałem w Kairze u pewnego krawca, rodem z Hanoweru, któremu gorącą winien jestem wdzięczność, tak za znajomość rozmaitych języków, jak pełną uprzejméj ludzkości gościnność, z jaką mnie w dom swój przyjął.

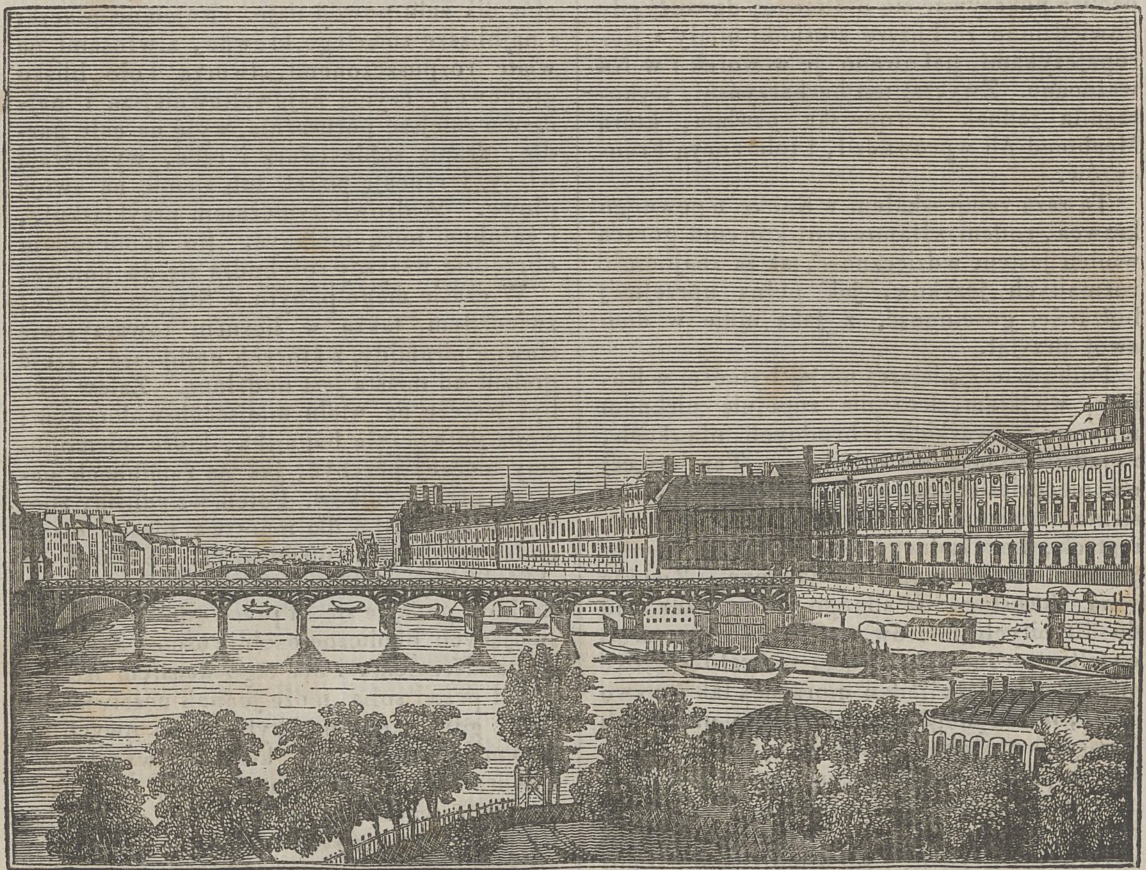
Podczas teraźniejszéj mojéj bytności w Kairze, wielkiém, lecz nie zupełnie piękném mieście, o wązkich i brudnych uliczkach, zwiedziłem targ niewolników. Tam więcéj niż pięćdziesiąt czarnych, — obie płcie od siebie oddzielone — siedziało na trzcinowych matach, bez żadnego odzienia, jak bydło jakowe na sprzedaż wystawione. Zwykła cena dorosłego i silnego mężczyzny 30 do 40 bitych talarów. Tu na tym targu wszelkie uczucie ludzkości zdawało się być umarłém. Mały jeden murzynek tak krzywo urosł, iż nie mógł chodzić, tylko na rękach i nogach czołgać się musiał. Sprzedający, siłą go przeto chcieli wyprostować i nogami przygniatali pokrzywione kolana. Prócz tego bolały jeszcze oczy biédnego chłopczynę; okrutni otwiérali je, i sól w nie sypali. Podczas téj nieludzkiéj operacyi, jeden z kupców ręką mu usta zatykał, aby nie krzyczał. Patrząc na to, oburzyła się dusza moja. Na wszystko niepomny, przyskoczyłem, oderwałem rękę barbarzyńcy i powaliłem go na ziemię. Rozżarty, krzyknął: „Umrzesz!" Lecz Arabowie, co właśnie wtedy nadeszli, czyn mój usprawiedliwili, i uratowali mnie przed jego zemstą.

Innego dnia, widziałem z wielkiém zajęciem pogrzebne obrządki Egipcyan. Skoro tylko człowiek umrze, niosą go do źrzódła, i obmywają. Potém zaszywają w białe płótno, i w pięć zaledwie godzin po skonaniu zanoszą do grobu. Zwykle jak u nas niesie go cztérech ludzi, z tą tylko różnicą, że głową naprzód. Jeśli zmarły był bogatym i znakomitym, zgromadzają się wszyscy niewidomi z całego miasta, idą za zwłokami i nieprzestają w pozornéj boleści wykrzykiwać jednotonnym śpiewem: *Ha, ha Hillallah! Mahomed macksur Allah!* Postępują także za ciałem najemne płaczki, chustkami mając twarze pozasłaniane i z chustkami w ręku. Skoro zwłoki spuszczą do ziemi, rozpoczynają żałobny taniec, który jednakże raczéj do śmiéchu niż żalu powód daje. Najemne płaczki i najbliższe zmarłego krewne, z włosami na wiatr rozpuszczonemi, tworzą koło blisko grobowca, czynią najgwałtowniejsze i najdziwaczniejsze poruszenia, wyją na całe gardło, drapią sobie twarz i ręce, wydzierają włosy, i rzucają piasek lub ziemię na swoję głowę. Widzowie tymczasem przyklaskują, i żałobne nucą melodye. Po skończonym obrzędzie wszyscy rozchodzą się do domów.

W czasie mego pobytu w Starym-Kairze, zwiedziłem także w licznem towarzystwie sławne piramidy, z których najbliższa o sześć godzin od miasta jest oddaloną. Zalew Nilu był jeszcze na wielu miejscach widocznym; woda potworzyła bagniska, które niemogliśmy inaczéj przebyć, jak na ramionach naszych przewodników. Potém wsiedliśmy znowu na osłów, bo dla mnóstwa piasku droga nadzwyczaj była utrudzającą. Gdyśmy się zbliżyli do piramid, stanęło przed nami dwóch Arabów, podając się za przewodników, i objaśniających okoliczne osobliwości. Zrazu im niedowierzałem, i dla tego kazałem iść naprzód przed sobą, może jednak uczciwie myśleli, gdyż skoro przybyliśmy do owych olbrzymich pomników, których wysokość i kwadratową szerokość na 500 stóp oszacowano, wprowadzili mię na jednę z piramid, na któréj utrąconym szczycie Napoleon ze 40 osobami obiadował. Pochyłość ta, chociaż w stopnie zbudowana, była jednakże bardzo stromą. Obaj Arabowie, boso, aby

bezpieczniéj stąpać po kamieniach, wzięli mnie pod boki, i tym sposobem szczęśliwie na wiérzch wprowadzili. Widok na żyzną dolinę Nilu i otaczającą okolicę, był ztamtąd zachwycającym. Zejście daleko było niebezpieczniejszém. Udało się nam jednak. Gdyśmy stanęli u stóp piramidy, czekał już na mnie trzeci Arab z zapaloną pochodnią w ręku, aby zaprowadzić wewnątrz owéj olbrzymiéj budowy z kwadratowych składającéj się kamieni.

Wejść inaczéj nie można tylko schylając się. Tym sposobem wstępuje się ze 30 kroków w głąb',—bo piramidy, według podania naszych przewodników, również głęboko mają w ziemię zachodzić, jak na wiérzch wybiegają,—wciągnięto mnie wreście w dziurę, prowadzącą wązkiém przejściem, do tak zwanéj trumny Faraona. Trumna ta, z tak mocnego kamienia, że jéj uszkodzić dotąd nie zdołali mineralogiczni starożytności badacze, zawiérała w sobie mniejszą daleko, wykradzioną przez Anglików. Gdyby byli mogli, zapewneby i dużéj na swém miejscu niezostawili. Ztąd zaczęliśmy wstępować drugą stroną, ja w środku, zawsze od Arabów pod ręce prowadzony. Droga była gładka i stroma. Arabowie jednakże tak byli przezorni, iż mnie najszczęśliwiéj ztamtąd wyprowadzili. Za swe utrudzenie otrzymali w nagrodę siedm piastrów. W pobliżu piramid, przy wiosce Sakara, znajdują się zwaliska starego Memfisu. Prócz tak zwanych zwierzęcych grobów, na w pół już zniszczonych, nic się tam oczom moim osobliwego nie przedstawiło. Groby te jednakże niedawno zostały naprawione. Znajdujące się pod ziemią, wązkiém tylko przejściem przystępne, podobne są do pieca, w których rozmaite zwierzęta, a osobliwie ptaki, jako bożyszcza od starych Egipcyan czczone, po dziśdzień jeszcze się przechowują. Uczeni mogą tutaj zajmujące czynić badania, ja zaś musiałem przestać na samém patrzaniu.



(MOST ZWANY PONT DES ARTS W PARYŻU, OD STRONY WSCHODNIÉJ.)

w WARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKOŁ PUBL., ULICA MIODOWA N. 482.